

Podziękowania :

Dla moich cudownych ludzi , którzy stali się dla mnie najbliższą rodziną , inspiracją , motywacją i każdego dnia powodują uśmiech na mojej starym gębku.

Wy tworzyście tę książkę , z serca ogromnie dziękuję

Prolog

Niebieskie niebo – takie z katalogu biura podróży – teatralnie opada na horyzont, jakby chciało powiedzieć: „mam już dość, idę spać”. Kolejny magiczny zachód słońca robi sprint, jakby mu się spieszyło na autobus.

Morska bryza szumi tak, jakby chciała ostrzec: „Uwaga, za chwilę zobaczysz największy absurd architektoniczny północnego wybrzeża.”

I faktycznie – oto stoi ON.

Stary, szary beżowy, zmęczony życiem, jakby od trzydziestu lat miał kaca.

KOKOMIĘTA.

Budynek tak nieśmiały, że w szeregu kamienic wygląda jak młodsza siostra Kopciuszka, tylko bez wróżki. Mniejszy, starszy, bardziej zabytkowy – ale z tak zaniedbanym vibe'em, że nawet kurz prosi o L4.

KOKOMIĘTA skrywa historie, które powinny być w podręcznikach BHP jako „przykłady traum środowiskowych”.

Tu rodzi się przyjaźń, lojalność, wsparcie... i poziom sarkazmu, który powinien być sprzedawany na receptę.

Hotel, który przeżył apokalipsę... i szkoda, że przeżył...

Od lat działa tu hotel z 38 pokojami, które wyglądają jak PRL-owskie kawalerki po remoncie wykonanym przez ekipę z Rumunii na ciężkim kacu.

Ściany z kleju i bibuły, plastikowa podłoga, dywany w odcieniach sianej szarości, kurz obecny od czasów dinozaurów.

Widok na morze – albo na dach restauracji, zavalony gratami i marzeniami.

Winda, do której prowadzą schody (logika: 0/10).

Wyjście awaryjne bez możliwości wyjścia (BHP: płacze).

Brak klimatyzacji w XXI wieku, ale za to gratis sauna – w każdym pokoju, latem, bez prądu.

Nawet mewy omijają KOKO MIĘTĘ szerokim łukiem. Boją się, że jak walną gównem, to budynek się rozpadnie i będą mieć sprawę w sądzie.

Korytarze ubrane w czerwone dywany: latem wersja „plaża w środku”, zimą „błotne spa”.

Kamery patrzą na wszystko – oprócz tego, na co naprawdę powinny.

Zimą grają kaloryfery jak Orkiestra Dęta .

Latem moskitiery opuszczają budynek szybciej niż sezonowi pracownicy.

To miejsce to duszna, nostalgiczna scenografia do telenoweli, której nikt nie zamówił.

Logika tu nie istnieje, a zaskoczenie to chleb powszedni.

Witajcie w tej bajce. Do czytania zalecany szampan albo mocniejsze.

POSTACIE :

Dyrektor Dionizy

Dyrektor przez duże D i ego przez duże EGO.

Chodzi jak generał, pachnie jak reklama perfum z lat 90., wygląda jak Adonis po azjatyckim urlopie zdrowotnym.

Codzienna mina: „Kurwa, znowu muszę tu być.”

Przyjeżdża rowerem, bo tak jest ekologicznie... i taniej.

Sarkazm ma we krwi, testosteron w legendach, jego białe licówki widziały więcej przerażenia niż niejeden horror.

Jego teksty do kobiet mogłyby mieć własną kategorię w Kodeksie Wykroczeń. Lubi ten sport i się tego nie wstydzi .

Samiec alfa, beta i omega w jednym, choć już tylko symbolicznie .

Jest pierdolnięty, ale kochany. Bo jak trzeba – pomoże.

A jak trzeba – opierdoli tak, że człowiek staje się wewnętrznym joginem.

Jest taki nasz , bo w KOKOMIĘTA to ważniejsze niż kwalifikacje.

Pelargonia vel Pela

Lewa ręka Dionizego, twarz KOKO MIĘTY, serce z waty cukrowej i nerwy ze stali nierdzewnej.

Wita każdego kulturalnym: „chujem w mordę”.

To jej „dzień dobry”.

Z zewnątrz słodka i elegancka, pod spodem – bombka z opóźnionym zapłonem.

Buty zawsze pasują do torebki, ale torebka pasuje do chaosu w środku.

Jest tak dobra, że aż boli.

Samotna w tłumie, zmęczona obowiązkami, ale niezmiennie piękna, choć lekko już znudzona rzeczywistością.

Wolf

Jego imię to żart z wszechświata.

Wolf jest zen jak mnich, który pali fajki i mówi „spierdalaj” oczami.

Cichy obserwator, który widzi wszystko, nawet to, czego zobaczyć nie powinien.

Starszy pan o uśmiechu mówiącym: „żebyś ty wiedział, ile ja mam tego wszystkiego w dupie...”

Jest concierge’em, bo kiedyś ktoś go zapytał, a on... nie umie odmówić.

Budzą go dla zapchanego kibla i zagubionych kluczy, a on tylko wzdycha jak bohater greckiej tragedii.

Jego prywatne 60 m² to inny świat.

Świątynia estety, oaza normalności, miejsce, gdzie świat wreszcie przestaje go wkurwiać

Pedros

Jeśli coś się spierdoli: dzwoń.

Jeśli bardzo się spierdoli: dzwoń szybciej.

Pedros zawsze przyjdzie – jutro.

Techniczna dusza KOKOMIĘTY, gumisiowy wojownik, mistrz chaosu i specjalista od zagubionych narzędzi.

Wiertła, śrubokręty, lampki – jego rzeczy mają własne życie.

Przypadkowo magiczne.

Pedros funkcjonuje na soku z gumijagód (czyli browarze), więc regularnie zbiera osiągnięcia w kategorii „przygody i rozpiardol życia osobistego”.

Z talentem do wszystkiego – ale głównie na jutro.

Pani Inga

Najczystsza osoba w tej części Europy.

Prysznic co trzy godziny, manicure w przerwach, paznokcie fruwające po kantynie niczym shurikeny.

Zpracowana, narzekająca, zmęczona, ale zawsze świeża.

Wózek zamienia na wiadro, bo po co ułatwiać sobie życie, skoro można dopierdolić sobie jeszcze bardziej. Uwielbia toktoka i indyjskie pierożki co wyglądają jak cipki .

Pani Tina

Emocjonalnie niemowlę, fizycznie – Rambo w kiece.

Śpiewa, krzyczy, klnie , płacze i śmieje się w ciągu jednej minuty.

Kocha ice tea i kanapki.

Ma moc nosorożca i wypadki losowe, które dziwnie często zdarzają się na początku sezonu.

Głośna, porywcza, kochana i niebezpieczna jak granat bez zawlecзки.

„Kicia” Kompleks

Nowa, słodka, wierząca, że życie jest trudne, ale ludzie dobrzy.

Idealna ofiara KOKOMIĘTY.

Zrobi wszystko, co jej każą – i jeszcze podziękuje.

Marzy o Paryżu, ale budżet starcza jej na papierosy i nadzieję, że wiosną będzie łatwiej .

Betty

To ja.

Kronikarz absurdu.

Przez lata w KOKOMIECIE widziałam więcej, niż przewiduje instrukcja dla pracowników.

Gości, co robią z siebie małpy i jeszcze za to płacą.

Pensje, które topnieją szybciej niż lody przy recepcji.

Mury, które się starzeją i marzenia, które uciekają jak tanie perfumy.

Nie mam jednego życia – mam ich kilka.

Żadne nie nadaje się na folder reklamowy.

Zbyt szczerą , zawsze spóźnioną, optymistką.

A mimo to Kocham Kokomiete.

I nie zamieniłabym jej na nic innego.

Styczniowa Apokalipsa

Nowy rok w hotelu zaczął się jak zwykle: od ambitnego hasła Dionizego

„Wielkie Sprzątanie, Wielki Start, Nowa Energia!”

i od równie wielkiego chaosu, który przyszedł pięć minut później.

Inge wpadła na korytarz z miną detektywa, który właśnie odkrył zbrodnię doskonałą.

— No nieeeee... — jęknęła, zaglądając w odkurzacza. — Tu nie ma worka. Nie ma. Ani jednego. Ktoś kwa od dwóch tygodni odkurzał na pusto!*

Pedros, który akurat wracał z magazynu z dużą pewnością siebie i lekkim kacem, zareagował od razu:

— Spoko, ja to naprawię.

Co oznaczało, że będzie gorzej.

Pedros chwycił maszynę, potrząsnął nią jak zepsutym dzieckiem w starym sitcomie i nacisnął przycisk.

W jednej sekundzie z odkurzacza wystrzeliła fala pyłu, brudu, włosów, ziemi, resztek chipsów i rzeczy, których nikt już nie chciał identyfikować.

Korytarz pokrył się tym jak świeżo śniegiem.

— O KURWAAAAA! — krzyknęła Kicia, a potem zaczęła kaszleć tak intensywnie, że wyglądało, jakby miała zmienić wymiar.

— Boże, to stary kurz! To kurz z zeszłego sezonu! Ja umrę, zabijcie mnie!

Pedros stał w chmurze brudu, mrugając powoli, jakby rozważał, czy to właśnie jego moment oświecenia.

— Chyba... chyba się zatkał.

— Naprawdę? — Tina spojrzała na niego jak na żywą

porażkę. — Serio? Bo ja myślałam, że on eksplodował z radości, że cię widzi.

Tina ruszyła szybkim krokiem, żeby otworzyć okno i przewietrzyć zasrane korytarz.

Przez mgłę kurzu nie zauważyła kabla od odkurzacza.

Noga zaczepiła.

Świat zwolnił.

Inge krzyknęła.

Pedros mrugnął.

Kabel wygrał. Pojedynek tragikomiczny ...

– JEEZU MARYJAA! – zagrzmiała Tina, zanim wyjebała się tak spektakularnie, jakby ćwiczyła do finału “Mam Talent: Upadki”.

Poleciała jak deska, lądując na plecach z głuchym łup.

– Żyjesz? – zapytała Kicia, nadal kaszląc i łapiąc powietrze jak astmatyczny smok.

– Nie żyję. – Tina zamknęła oczy. – Zakopcie mnie tu. Korytarz i tak jest zasypany. Wtedy pojawiła się Betty – spóźniona, rozczochrana, z niedojedzoną bułką w ręku i wyrzutami sumienia w oczach.

Zatrzymała się, spojrzała na syf życia rozłożony przed nią i westchnęła jak matka czwórki, która przysłała do przedszkola po “grzeczne dzieci”.

– Dobra... – mruknęła.

– Dajcie to. Wszystko. Ja to ogarnę.

I rzeczywiście: podczas gdy reszta kaszłała, przeklinała lub leżała martwa-w-środku na podłodze, Betty odpaliła drugi odkurzacz, zebrała brud, przewróciła Pedrosa łagodnie na bok, otworzyła okno, podniosła Tinę, która nadal udawała trupa, i doprowadziła cały korytarz do stanu używalności.

W pół godziny.

Kiedy skończyła, oparła ręce na biodrach i powiedziała:

– Witamy w nowym roku, kurwa mać.

I wszyscy, nawet leżąca Tina, musieli przyznać, że Betty jest nadludzka.

CHODNIK – LODOWISKO PREMIUM

Chodnik przed hotelem to była sprawa honorowa. Codziennie trzeba go było umyć, słucać, odpiaskować, doprowadzić do stanu „bezpiecznie, ale estetycznie”. Płyta chodnikowa miała błyszczeć, bo Dionizy twierdził, że gość wyrabia sobie opinię o hotelu w pierwszych trzech krokach.

Tego dnia temperatura kręciła się niebezpiecznie blisko zera. Minus jeden, plus jeden, taka zdradliwa pogoda, co udaje neutralną, a potem robi krzywdę.

– Bierzemy ten nowy płyn – zdecydowała Betty. – Nabłyszczą.

Błąd numer jeden, ta chemia była zdradliwa jak lody sułtańskie. Smakują luksusem, srasz rodzynekami.

Płyn był luksusowy.

Pachniał cytrusami i obietnicą czystości.

Rozprowadzony równiutko, dokładnie, profesjonalnie.

Po pięciu minutach chodnik wyglądał jak lustro.

Po dziesięciu – jak tafla lodowiska olimpijskiego.

Pierwszy poślizg zaliczył gość z pokoju 103.

Uratował się cudem, łapiąc klamki drzwi, i spódnicy zony.

Drugi był Pedros.

– O, kurwa! – powiedział, robiąc pół piruetu i cofając się na cztery.

A trzeci... trzeci był pies.

Pies z sąsiedniej kamienicy, kundel średniej wielkości, wbiegł na chodnik z radością.

I natychmiast zaczął kręcić salta, piruety i figury godne programu „Gwiazdy na lodzie”.

Łapy mu uciekały. Tył wyprzedzał przód.

Radość i panika w jednym pakiecie.

– O MATKO, TEN PIES TAŃCZY – krzyknęła Tina.

– To nie taniec, to walka o życie – poprawił Wolf.

Właściciel psa stał jak wryty.

Pies przeżył.

Nasza godność – nie.

Pelargonia spojrzała na chodnik, na psa, na Pedrosa i podjęła decyzję dowódcy w czasie wojny.

– Gotujemy wodę. Dużo. TERAZ.

Sześć czajników poszło w ruch.

Recepcja zamieniła się w elektrownię.

Kable, przedłużacze, czajniki bulgoczące jak sabat czarownic.

– Jak wywalą korki, to ja się wypisuję z życia – mruknęła Kicia.

Pierwsze porcje wrzątku poleciały na lód.

sssssss...

Para.

Smród chemii.

Ulga.

– Lej tu!

– Nie, tam!

– Uważaj, bo się zabijesz!

Betty lała wodę jak kapłanka rytuału odladzania. Modlac się ,zeby ten wrzątek nie zmarzył jak nadzieje wszystkich na normalny dzień w kokomięcie.

Pedros nosił czajniki.

Wolf pilnował, żeby nikt nie wszedł i nie poleciał jak Bambi.

Po pół godzinie chodnik wrócił do stanu „da się przejść bez złamania życia”.

Wszyscy stali mokrzy, spoceni, śmierdzący cytryną i zwycięstwem.

Tina podsumowała:

– Hotel czysty. Chodnik lśni. Pies przeżył.

Wolf dodał:

– I mamy nową zasadę: nabłyszczacz tylko latem.

Pelargonia zapisała to w głowie, bo nikt już nie miał siły pisać.

A Dionizy, który przyszedł później, spojrzął na chodnik i powiedział z dumą:

– Ale się błyszczący.

Nikt nie odpowiedział.

Bo wszyscy wiedzieli, że ten hotel świeci tylko do pierwszego mrozu.

Walentynkowa Tragedia Balonowa

Walentynki w hotelu przyszły wraz z klasycznym zestawem: zimnym deszczem, jeszcze zimniejszym nastrojem, sztormem i wkurwem, który unosił się w powietrzu jak para z zepsutego czajnika.

Dionizy od rana chodził po lobby z miną mężczyzny, który usłyszał, że jego hotel musi wyglądać jak Paryż, Las Vegas i Dubaj naraz.

– Ma być romantycznie! Ma być spektakularnie! – wołał, wskazując na wielkie kartony balonów. – Wszystko na czerwono! Czułość! Miłość! Pożądanie!

Pedros prychnął.

– Pożądanie będzie, jak się tym helem na wciągamy...

Na stołach w lobby stały butle z helem, a obok nich trzy tysiące balonów w kolorze „krwawa namiętność”. Po trzech godzinach każdy członek ekipy miał już odmrożone palce i odchylenie przegrody nosowej od ciągłego zaciągania się helem przez przypadek.

Tina trzymała czwartą rolkę sznurka i syczała:

– Kto wymyślił trzy tysiące? Kto? Kto?

Kicia odpowiadała pischącym głosem, bo zaciągnęła się znowu:

– Miłość jest śmieciem!

Pelargonia wiązała czerwony balon za czerwonym balonem, wyglądając jak ktoś, kto stracił wiarę w ludzi, świat i system.

Betty z wyrazem matczynej rezygnacji układała łąbędzie z ręczników.

– Łabędziom jest lepiej niż mnie – mruknęła. – One przynajmniej mają parę.

Wieczorem lobby wyglądało jak wnętrze czerwonego balonu narodowego. Cały sufit zasłoniły balony na sznurkach, połyskujące jak tłum martwych serc. W środku stały łąbędzie ręcznikowe i plastikowe róże, których zapach można by określić jako “syntetyczna rozpacz”.

Dionizy prawie się wzruszył.

– To jest to! Paryż! Przysięgam, jesteście genialni!

Nikt nie miał siły go poprawić.

A potem przyszła noc.

O pierwszej w nocy Wolf usłyszał pierwsze pyk.